

Kieniewicz, Stefan

O sobie i o historii

Przegląd Historyczny 84/1, 7-12

1993

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

STEFAN KIENIEWICZ

O sobie i o historii

Publikujemy poniżej zapis wywiadu udzielonego przez Stefana K i e n i e w i c z a Telewizji Polskiej w grudniu 1991 r. Wywiad ten stał się podstawą audycji Stanisława F a l i Ń s k i e g o z serii „Poczet uczonych polskich”, nadanej w programie I TVP 5 maja 1992. Pominięto, zaznaczając to w tekście, komentarz i objaśnienia do wstawek filmowych ilustrujących wydarzenia historyczne, o których wspomina Stefan Kieniewicz. Tytuł pochodzi od redakcji.

Widzę siebie, dziesięcioletniego chłopca, w rodzinnym domu na Polesiu jak w rozbującej wyobraźni fantazjując na temat jakichś wymagowanych państw czy królestw, które toczą ze sobą wojny. Trwała wówczas I wojna światowa; wszyscy, więc i dzieci też, o wojnie myślały. Pamiętam siebie, jak tę wojnę obserwuję i piszę na niby historię tych swoich wojen, i jestem historykiem, i piszę książki, i te książki mają bardzo dużo obrazków czy ilustracji. To było jak gdyby pierwsze moje wyobrażenie o pisarstwie historycznym. — —

Po tamtej wojnie światowej przenieśliśmy się z Polesia do Warszawy, wraz z „wybuchem” — jak się wtedy mówiło — Polski niepodległej. Mój ojciec przed wojną był sobie zamożnym właścicielem ziemskim i poddanym rosyjskiego cara. A stał się bardzo skromnym urzędnikiem w Warszawie, w wolnej Polsce. Przypomnę, że ta zmiana sytuacji została przez nas, przez młode pokolenie, oceniona pozytywnie i że nie bardzo oglądając się na tamtą ziemiańską przeszłość postanowiliśmy żyć w wolnym kraju i żyć swobodnie.

Studia historyczne odbywałem w Poznaniu. Był tam młody, niedawno otwarty uniwersytet, nie tak bardzo wysoko stojący ale bardzo potrzebny. Dzielnica tamta nigdy nie miała uniwersytetu; wynikała stąd konieczność szybkiego wykształcenia nauczycieli szkół średnich, między innymi historii. Mnóstwo zatem młodzieży poznańskiej szło na studia historyczne. Były to łatwe studia — proszę sobie wyobrazić, że w ciągu czterech lat mieliśmy wszystkiego pięć egzaminów do zdania w dowolnym terminie, obowiązek zaliczenia odnośnej liczby wykładów oraz seminariów i na tym koniec.

Wróć jeszcze do atmosfery Uniwersytetu Poznańskiego. Była ona, rzecz jasna, jak wszędzie rozpolitykowana, ale mniej burzliwa niż gdzie indziej, bo dosyć wyłącznie opanowana przez Narodową Demokrację. Sam stałem od tego wszystkiego dość daleko: polityką przed wojną nie parałem się wcale, zaś w tym zasadniczym sporze między tak zwaną endecją a piłsudczykami nie zajmowałem stanowiska. Środowisko kresowe, w którym wyrosłem, miało na ogół więcej sympatii dla Piłsudskiego niż dla ND, ale, jak mówię, od tych spraw stałem z daleka, współpracowałem raczej z organizacjami akademickimi typu katolickiego, które mniej politykowały. W sumie można powiedzieć, że dystansowałem się od życia bieżącego. Interesowała mnie praca naukowa, biblioteka,

książki i pisanie, które na tym pierwszym etapie było dla mnie ogromnie trudne. Przewyciążać musiałem wielkie kłopoty przy kleceniu każdego zdania, zanim mi się zdało poprawne. Naprawdę długo trwało zanim moje piarstwo stało się i płynne, i prawie że przyjemne.

Chciałbym wymienić trzech wybitnych historyków, którym w swoim kształceniu się naukowym najwięcej zawdzięczam. Pierwszym z nich, jeszcze w Poznaniu, był Adam S k a ł k o w s k i, który mnie nauczył nieschlebiania legendom, nieprzyjmowania na wiarę potocznych sądów, brania każdego świadectwa krytycznie, braku obawy przed pójściem pod prąd obiegowych opinii, słowem — szukania własnych dróg. Drugim był promotor mojego doktoratu w Warszawie, Marcełi H a n d e l s m a n. To on właśnie nauczył mnie naprawdę historycznego rzemiosła — tej jakiejś umiejętności koronkowego splatania źródeł najrozmaitszej proveniencji: i polskich, i obcych, i prawicowych, i lewicowych, i patriotycznych, i zaborczych oraz odtwarzania z nich spójnego obrazu. Obrazu, który jak to ciągle podkreślał nasz mistrz, powinien najbardziej zbliżyć się do „prawdziwej prawdy”, tak trudnej do osiągnięcia. Trzecim historykiem, którego nie chcę tutaj pominąć, chociaż już nie zawodowe względy ale życiowe wchodziły w grę, był Józef F e l d m a n, profesor z Krakowa, którego poznałem trochę w czasie wojny, a który nazajutrz po wojnie podał mi życzliwą rękę i ułatwił habilitację w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Rzecz to szczególna — magisterium z historii zrobiłem w Poznaniu, doktorat w Warszawie a habilitację w Krakowie. Był to swego rodzaju przypadek a nie jakiś przemyślany wybór drogi. Ale przypadek dla mnie ogromnie szczęśliwy, bo z chwilą gdy sobie obrałem jako epokę, którą pragnąłem się zajmować, wiek dziewiętnasty, a więc okres rozbiorów, to sam sobie nie zdawałem sprawy w czym leży główna trudność tego tematu. Dopiero później uzmysłowiłem sobie, że w tym, iż historia Polski szła wówczas trzema nieraz równoległymi, z trudem ząębającymi się torami w trzech zaborach. Kto znał się na historii zaboru rosyjskiego, nie znał Galicji i Poznańskiego i na odwrót: historyk Poznańskiego był zamknięty w swoim pruskim zaborze. Tymczasem ja przejechałem się jak gdyby po wszystkich trzech zaborach. Pierwsza moja książka, która się liczyła, dotyczyła powstania poznańskiego 1848 roku. Druga, na podstawie której się habilitowałem, był to życiorys tak zwanego czerwonego księcia Adama Sapiehy — a więc Galicja. Później, kiedy osiadłem w Warszawie, musiałem oczywiście zacząć zajmować się tą częścią Polski, zacząłem więc pisać o zaborze rosyjskim; równocześnie trzeba też było badać emigrację w okresie Wiosny Ludów i po powstaniach. W ten sposób automatycznie niejako wyrosłem na „generalnego specjalistę” od XIX wieku. Wyraźnie mi to ułatwiło późniejszą karierę naukową.

Magisterium zrobiłem w roku 1930 a doktorat w 1934, właśnie na podstawie wspomnianej książki o powstaniu poznańskim, u Handlsmana tu w Warszawie. Pamiętam, że w dniu kiedy miała być moja promocja doktorska chodziłem sobie po ogrodzie uniwersyteckim i przelatujący gołąb „zbezczesił” mój nowy kapelusz, co podobno przynosi szczęście.

Zadnej posady wtedy nie miałem. Trochę pieniędzy dostawałem z domu, trochę miałem zasiłku na podróże z Funduszu Kultury Narodowej; potem byłem stypendystą rodziny Sapiehów, którzy tę pracę o ich znakomitym przodku subwencjonowali. Zmianę przyniósł dopiero rok 1937, kiedy to *primo*: ożeniłem się, *secundo*: wzięłem posadę archiwisty tu w Warszawie.

W czasie oblężenia Warszawy w 39 roku nie siedziałem w piwnicy, ale na czwartym piętrze na ulicy Wiejskiej, wśród pożarów, w mieszkaniu mego szwagra, który pracował w „Kurierze Warszawskim”. W zagranicznym radio łąpałem komunikaty, które potem spisane szły do „Kuriera”, więc do piwnicy nie złąziłem. Lata wojenne były ciężkie, jak dla wszystkich. Nie bardzo było z czego żyć, nie bardzo co po prostu do gęby włożyć. A i dzieci na świat przychodziły. Wzięłem się oczywiście i do „konspiracy”. Nie należałem

do pokolenia Kolumbów, jak to się później mówiło; byłem starszy nieco i broni do ręki nie wziętem. Nieraz żartem podkreślałem, że stałem się swego rodzaju konspiracyjnym gryzpiórkiem. Pisałem raporty i rozmaite analizy sytuacji w Biurze Informacji i Propagandy ZWZ-AK, czyli tak zwanym BIP-ie. Istnieje dziś uczona monografia o tym BIP-ie i tam jest także o mnie jakaś wzmianka wśród wielu dziesiątków współpracowników; figuruję też gdzieś w odnośnych aktach. Również i to nauczyło mnie czegoś jako historyka. Namacalnie przekonałem się, czym jest konspiracja, a przecież zajmowałem się i miałem zajmować się historią konspiracji dawnych. Poznałem ją nieco od strony życia praktycznego, pewnego rodzaju etyki konspiratora oraz niebezpieczeństw ząbienia się wzajemnego konspiracji i polityki. —

Moja powstańcza kariera była bardzo krótka. Nie byłem przeznaczony do tego, żebym szedł do szturmów o godzinie „W”, ale od razu znalazłem się między jedną linią frontu a drugą, z czego sobie niestety nie zdawałem sprawy. Niemcy zapalili nasz dom na Powiślu już w godzinę po rozpoczęciu działań zbrojnych, więc próbowałem go ratować. Biegałem z wiadrem od kranu do pożaru. W środku nocy — dom był rzecz jasna pod ostrzałem — kula rykoszetem z karabinu maszynowego trafiła mnie tu [w lewą stronę szyi] a tędy wyszła [po prawej stronie]. Jakim cudem nie uszkodziła tchawicy, po dziś dzień nikt nie wie. Uratowała mnie wtedy moja żona, cudem prawdziwym, a dzielne sanitariuszki w liczbie kilku wyniosły mnie z tego płonącego domu. Spaliły się tam między innymi wszystkie moje dokumenty, całe przedwojenne archiwum naukowe.

W pierwszych dniach września Niemcy zajęli śródmieście. Musiałem się zaopiekować żoną i córeczką, która miała wtedy osiem dni. Moja żona w kilka dni po porodzie wyszła na piechotę z tego płonącego miasta do Pruszkowa, a w Pruszkowie w obozie przejściowym nas rozłączyli. Żona z dzieckiem powędrowała gdzieś tam do GG do uczciwych ludzi a mnie zabrali do Dachau, gdzie sobie przesiedziałem siedem miesięcy. Każdy, kto zna historię obozów koncentracyjnych wie, że to już były miesiące ulgowe, nie tak mordercze jak przedtem. Nie zmienia to faktu, że spory odsetek ludzi, którzy ze mną tam poszli, już wyzwolenia nie dożył. A ja sam wyszedłem stamtąd, można by powiedzieć, trochę na czworakach, bo już nie bardzo starczało mi sił nawet ażeby wstać i chodzić. Byłem w różnych podobozach, gdzieś w Wirtembergii i Badenii, zanim mnie wyholowali Amerykanie około Wielkiejnocy 45 roku. Znalazłem się wśród tak zwanych dipisów, pod amerykańską okupacją. Z początku byłem ledwie żywy, ale gdy troszkę oprzytomiałem i na wikcie tzw. UNRR-y doszedłem do jakiego-takiego stanu, zacząłem się zastanawiać, co czynić dalej. Było wielu ludzi, którzy mówili wtedy: Polska jest czerwona, nie ma do czego ani do kogo wracać. Ja jednak jakoś ku jesieni 45 roku uznałem, że wracać trzeba. Oczywiście wchodziło w grę i to, że żona wraz z trojgiem dzieci byli w kraju. Ale wchodziło i to, że chciałem być w dalszym ciągu historykiem spraw polskich, spraw walki o niepodległość. I wydawało mi się, że nie ma sposobu pracować rzetelnie dla Polski poza Polską, a w jakiś sposób można będzie uczciwie pracować nawet i w tej Polsce, jaka się z wojny wyłoniła. Może oddziaływały tu iluzje czy złudzenia, może nie wiedziałem o wszystkich trudnościach, jakie będą na mnie czekały. Znalazłem się w Polsce „oberwany”, bez żadnych dóbr materialnych z Zachodu, oczywiście bez grosza. Trzeba było zapewnić jakiś dach nad głową sobie i rodzinie, zdobyć jakieś środki utrzymania, jakiś etat i możliwości jakiejś pracy naukowej. Życzliwi ludzie trochę pomogli. Po dłuższych poszukiwaniach okazało się, że jest dla mnie miejsce i etat tu w Warszawie, w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Nie był to przypadek, ponieważ instytut ten organizowali wtedy właściwie „handelsmańczy” pod wodzą Tadeusza Manteuffla, moi starsi i rówieśni ze mną koledzy. Wszyscy oni przyjęli mnie najchętniej jako dawnego kumpla i swojego człowieka. Znalazłem się tu od jesieni 46 roku. Moja nowa rola nie była wcale taka prosta, bo proszę zważyć, że miałem wtedy prawie lat czterdzieści a do tego czasu nigdy nikogo nie uczyłem: nie byłem żadnym asystentem, ani adiunktem, ani niczym

podobnym. Musiałem z miejsca jako zastępca profesora, potem profesor, uczyć, mieć wykłady (czego nigdy przedtem nie robiłem), prowadzić seminaria (na czym się zupełnie nie znałem), przyjmować egzaminy (co mnie śmiertelną napawało trema). Wdrażałem się w to wszystko powoli. Uczyłem w Instytucie Historycznym lat ze trzydzieści; każdego roku przychodziło na III rok historii kilkudziesięciu studentów, którzy trafiali do mnie, zdawali egzamin z historii Polski — a to był trudny egzamin. Cóż, przeszli oni wszyscy jakoś przez moje ręce, a co roku też kilkoro chłopców i dziewcząt przychodziło na moje seminarium i nie wszyscy, ale sporo z nich robiło magisterium. Naliczyłoby się więc parę setek magisteriów; potem znów nie wszyscy ale dość liczna grupa robiła doktoraty. W sumie wcale spora stawka młodzieży, z którą miałem bliżej do czynienia. Nie byłem nadzwyczajnym pedagogiem. Nie stworzyłem jakiejś wybitnej szkoły historycznej, ale sądzę, że wielu swoich uczniów czegoś nauczyłem i sam się od nich nauczyłem niejednego. Bo na pewno kontakt z młodzieżą ułatwia czy stymuluje pracę naukową. — —

Jak Instytutowi Historycznemu, a w nim mnie osobiście, przyszło przeżyć nacisk marksistowskiej teorii i systemu? Dla historyków względnie korzystny był fakt, że atmosfera stalinizmu dotknęła nas w sposób mniej dotkliwy i mniej dokuczliwy niż niektóre inne branże, takie jak filozofia, ekonomia, socjologia, nawet polonistyka. Zaczęła być dla nas dostrzegalna gdzieś około roku 48, a więc gdy już Instytut Historyczny dobrze stanął na nogach i był samodzielny, starał trzymać się razem, być solidarną grupą kolegów-profesorów. Wcześniej, bo w roku 51, na dwa lata przed śmiercią Stalina, nastąpiło przesilenie i jak gdyby przewyciężyliśmy z grupsza nacisk ultra-marksyistów, którzy mieli ochotę całą przedwojenną kadrę profesorską rozpedzić i zacząć od zera. Utrzymaliśmy się więc na stanowiskach. Jeżeli byliśmy zmuszeni zrezygnować z niektórych wątków badań, to na odcinku XIX wieku ograniczenia te nie były tak dotkliwe jak w historii najnowszej. Skądinąd historią najnowszą w latach 40-tych myśmy się w ogóle nie zajmowali. Do roku 1905 doszliśmy gdzieś dopiero w połowie lat 50-tych — to już było po śmierci Stalina. Gdy idzie o jakieś odgórne dezyderaty, muszę przyznać, że atmosfera w naszym środowisku Instytutu Historycznego była taka, że nikt z nas nie poszedłby i nie szedł na lansowanie jakichś tez, które sami byśmy uważali za fałszywe, czy na posługiwanie się retuszowanymi materiałami źródłowymi. — —

W popaździernikowych już latach otwarły się liczne możliwości naukowych kontaktów międzynarodowych. Zacząłem wtedy trochę jeździć za granicę i to w obu kierunkach; trochę wykladałem jako wizytujący profesor — w Paryżu, i w Londynie, i w Chicago byłem przez pół roku. Dość często zwłaszcza dojeżdżałem do Włoch na obchody tak zwanego Risorgimento, czyli włoskich walk o niepodległość. Równolegle, nazajutrz po Październiku i na skutek tej zmienionej atmosfery, razem z grupą przyjaciół-Moskali (by użyć Mickiewiczowskiego wyrażenia) zaczęliśmy duże i pożyteczne wydawnictwo źródeł do dziejów powstania styczniowego, które nie byłoby możliwe w takiej skali, gdyby nam koledzy z archiwów radzieckich nie otworzyli dostępu do tamtejszych materiałów i nie umożliwili korzystania z archiwów. Przypomnieć wypada, że archiwa, zwłaszcza u nas w Warszawie, w czasie tamtej wojny spaliły się bezpowrotnie. — —

Tak się złożyło, że w marcu 1968 roku nie było mnie w Polsce. Byłem za granicą, w Chicago, gdzie pół roku wykladałem na tamtejszym uniwersytecie. Wróciłem w sierpniu, w przededniu najścia krajów Układu Warszawskiego na Czechosłowację, no i byłem jednym z, można powiedzieć, czystych, nie zaangażowanych ani po jednej, ani po drugiej stronie. Być może ta okoliczność sprawiła, że zostałem uznany jako jeden z możliwych kandydatów do objęcia stanowiska dosyć odpowiedzialnego, a mianowicie przewodniczącego Komitetu Nauk Historycznych Akademii Nauk. Ten Komitet powinien był w teorii reprezentować ogół historyków polskich, zwłaszcza wobec zagranicy. Reprezentował w cudzysłowie, bo nie był obrany, jako że żadnej demokracji wtedy nie było. Komitet ten był mianowany, teoretycznie przez Akademię Nauk a praktycznie przez

„Biały Dom”. Również przewodniczący (tzn. moja osoba) był też przecie mianowany a nie obrany. Nie miałem żadnego wpływu na skład tego komitetu, chociaż starałem się wpływ ten mieć. Wszelako funkcję tę starałem się jako-tako pełnić, a pełniłem ją dość długo, bo przez lat 15, czyli przez pięć kolejnych kadencji. Z tej racji musiałem występować w imieniu szerszej społeczności, co wkładało na mnie obowiązek zabierania głosu odnośnie różnych bolączek, które nas trapiły. Działo się tak zwłaszcza odkąd zmarł Tadeusz Manteuffel, a on umarł w 70 roku. Był to człowiek, któregośmy wszyscy kochali, który był autorytetem dla ogółu i który nas, że tak powiem, osłaniał, bronił swoją wojowniczością w władzę. Musiałem — heu! — tę rolę podjąć, choć znacznie mniejszym obdarzony temperamentem. Chodziło o te bolączki, może nie historyków dawniejszych, średniowiecznych, ale historyków najnowszych, którym było pisać trudno, a zwłaszcza trudno było pisać uczciwie. W tych sprawach starałem się przy różnych okazjach zabierać głos, nie tylko w rozmowach z przedstawicielami środowiska partyjnego, ale i przy okazji wystąpień publicznych w uniwersytecie, Akademii i także na różnych tak zwanych otwartych zebraniach partyjnych, chociaż do partii nigdy nie należałem. — —

Kiedy na jesieni 81 roku odbywał się zjazd „Solidarności” w „Olivii” i uchwalono ten słynny apel do narodów Związku Radzieckiego o to, żeby szły za polskim przykładem, pamiętam jakie się larum podniosło. „Co za błąd! Co za głupstwo! Co za nieprzytomne szaleństwo, jakże można było coś takiego robić i tak tego Breżniewa prowokować!” Tymczasem ja nie mogłem sobie nie pomyśleć, że jest to przecież umieszczone w tradycji, która mi była najdroższa, w tradycji „za naszą i waszą wolność”. — —

[Po wprowadzeniu stanu wojennego] Nabraliśmy zwyczaju, że od czasu do czasu kursowały jakieś memoriały i te memoriały się podpisywało, a potem podpisy owe cytowane były przez Wolną Europę. Po czym przychodziło UB i indagowało tych sygnatariuszy. Kiedyś sam miałem tutaj, w sąsiednim pokoju, dłuższą rozmowę z dwoma takimi „smutnymi panami”, ale była ona jedyną. Właściwie tak bardzo wiele przykrości ze strony tej instytucji nie miałem, poza tym, że przez kilka lat nie dawano mi zagranicznego paszportu. Ale w końcu można to było jakoś przeżyć.

Kilka tygodni po 13 grudnia generał [Jaruzelski] zaprosił do Rady Państwa w Ujazdowskich Alejach kilkudziesięciu przedstawicieli świata nauki i wyjaśniał im swoje racje. Profesor S a m s o n o w i c z, który był wtedy rektorem naszego uniwersytetu — i to rektorem z wyboru — nie został zaproszony, bo uważany był za krnąbrnego. Bardzo nas ubodło, że Samsonowicza, któregośmy uważali za przywódcę, nie zaproszono. Jako jeden z ostatnich zabrałem głos w dyskusji, która się wówczas odbyła i nie wiem czy słusznie, ale jednak powiedziałem w twarz osobom za stołem, że mi ta „noc generała” troszkę za bardzo przypomina brankę Wielopolskiego. A branka ta ani Polsce się nie przysłużyła, ani też autorowi branki. Nie wiem, czy miałem rację — może przeholowałem, ale bardzo mnie wtedy poniosło.

Powoli jakoś wszystko zaczęło się zmieniać, już bez mego aktywnego udziału, bo od ładnych paru lat byłem przecie na emeryturze. Miałem już za sobą tę grubą książkę o powstaniu styczniowym, do której zbierałem materiały przez parę dziesiątków lat i do której przygotowywałem się poprzez wydawnictwa źródłowe, poprzez monografie na szczegółowe tematy, poprzez życiorysy różnych osób, aż wreszcie powstało to dzieło. W późnym już stosunkowo wieku, bo na moje osiemdziesięciolecie, doczekałem się bardzo szumnego jubileuszu, który urządzono mi na Uniwersytecie Warszawskim. Przyszedł tłum ludzi, były rozmaite ładne przemówienia i ofiarowano mi taką piękną książkę, która nazywa się „Losy Polaków” i w której zamieszczono całą moją bibliografię z paroma setkami pozycji dużych i małych. Różne były wówczas satysfakcje miłości własnej. Między innymi przypominałem taką okoliczność: kilka lat pierwej — to było jeszcze za czasów Gierka — i ja, i moi koledzy zostaliśmy zaproszeni do ówczesnego

rektora Rybickiego, który nam wręczył pisma odręczne podpisane przez Edwarda Gierka z powinszowaniami za działalność naukową. Był karnawał, więc dano nam czarnej kawy i faworków. Przyszło mi wtedy do głowy: „oto są faworki władzy ludowej”. Powiedziałem [podczas jubileuszu]: „owszem, pamiętam o tych faworkach władzy ludowej, że mi w końcu i etat dała ta władza, i awanse rozmaite, i nawet jakieś ordery od czasu do czasu, i książki moje drukowała, i za granicę czasami pozwalała wyjeżdżać”. Doceniam to, że także pracę naukową w Polsce Ludowej mogliśmy prowadzić i straliśmy się ją prowadzić uczciwie. Natomiast nie uważałem, ażeby „faworki władzy ludowej” kiedykolwiek nas zobowiązywały, abyśmy w interesie tej władzy mieli cokolwiek mówić sprzecznego z naszym naukowym sumieniem. Tego się trzymałem wtedy i chyba staram się trzymać i dzisiaj. Choć wszystko się u nas dziś odwróciło i różne rzeczy się głosi, których się nie chciało czy nie umiało mówić wczoraj. I choć wyskakujemy teraz z tezami, które niezupełnie licują z moją wiedzą źródłową i pozazródłową.